

Bruno Kadyna

Reset



Ilustracja: Bruno Kadyna

Strona autora: brunokadyna.pl

Adres: bruno.kadyna@wp.pl

Czerwiec 2018

Basia śpi jak zabita. Powinienem jak ona spać z otwartą japą i smacznie się ślinić. Zamiast tego wiercę się jak dwulatek. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Jestem przecież potwornie zmęczony. Mam tak od kilku nocy, pomimo prochów nasennych. Czas je odstawić, bo tylko mnie zamulają.

Wstaję, biorę telefon i idę do łazienki.

Siedzę na dzbanku dłużej niż powinienem, bo zaglądam na Facebooka, Instagram i Twittera, a to trwa.

Kiedy jestem przy Twitterze, mdli mnie i odbija się porządnie, prawie puszczam pawia.

– Uu, niedobrze.

Przeszukuję łepetynę, czy nie zżarłem czegoś niezdrowego. Ale nie przypominam sobie, jadłem to, co zawsze. I przecież czuję się tak od kilku dni. Przede wszystkim w pracy.

A może to właśnie przez robotę? Nie cierpię jej.

– Blurb! – Znowu mi się odbija.

Odkładam telefon na pralkę i oddycham głęboko. Przechodzi. Coś się ze mną dzieje niedobrego.

Nie powiem Baśce, bo będzie się darła, że mam iść do lekarza. I nie odpuści. Ta mała pchła jest tak uparta, że prędzej zdechnę od jej trucia niż od tego, co mi tam jest. Lepiej nic nie mówić.

– Nic mi nie jest – gadam do siebie. – To stres. – Wychodzę z łazienki.

Idę do kuchni, gaszę pragnienie wygazowaną oranżadą i wracam do łóżka męczyć się dalej.

– Znowu kiepsko spałeś? – pyta Basia.

– Mhm – mruczę.

Nienawidzę gadać z rana, szczególnie taki niewyspany. I ze

świadomością, że muszę iść do tej gównianej pracy.

Koła zębate korporacyjnej wyżymaczki będą dziś zgrzytać przeze mnie, to pewne. Dostanę szalu jeśli dołożą mi roboty. Jak przyjdzie ten kierowniczy esesman, to rozwalę mu na łbie klawiaturę.

I może w pierdłu się wyśpię.

– Mój biedaku. Poprawić ci jakoś humor? – Mała unosi jedną brew.

Kocham tę drobniutką, skoczną świntuszkę.

– Nie teraz, łobuzico. Kurde, nie czuję się dobrze.

– To od tej chemii, którą się futrujesz. Wiesz o tym?

– Od zawsze tak jem.

– Nasyciłeś organizm syfami i w końcu wysiada. Czas zacząć jeść zdrowo.

– Ok, zacznę – mówię na odwal.

Basia podchodzi, już widzę, co się święci. Moja śliczna, mała kobietka, jędrna i sprężysta. Cycuszki wypięte, kuperek odstaje.

– To jak, sprawić ci przyjemność? – pyta.

– Muszę się śpieszyć. Zobacz, która godzina.

– Phi.

Udaje obrazę i zarzuca kuperkiem wychodząc z kuchni, co ma znaczyć, żebym żałował.

I jakaś część mnie na pewno żałuje.

W autobusie zaczyna boleć mnie głowa, w pociągu już napierdziela zdrowo. Może to od czytania na telefonie? Może muszę iść do okulisty? Nie wiem. Nie mogę usiedzieć na miejscu, wierzę się, w końcu wstaję.

Codziennie te same twarze. Męczy mnie, że nikt z sobą nie rozmawia, udaje, że nie widzi drugiego, a przecież już się znamy.

Kim my w ogóle dla siebie jesteśmy? Dokąd zmierzamy?

– Co to za masowy, nieludzki idiotyzm? – mówię na głos.

Ludzie tylko zerkają na mnie i z powrotem w obojętność. Jak poczuje się lepiej, zaczną z nimi gadać. Chociaż spróbuję. Pewnie pomyślą, że jestem jakiś stuknięty. A potem na Facebooku poudostępniają posty o ludziach, którzy robią dobre uczynki. W ten sposób pokażą swoją wrażliwość, ludzką stronę.

Żenada.

Najgorzej będzie w pracy. Tam prawie każdy zamienia się w lizusa, byle przekonać do siebie przełożonych, za wszelką cenę. Bez własnego zdania, życzliwości, empatii, trzymając się rygorystycznie litery korporacyjnego prawa. Przed oczami tylko procedury i formułki. Jak roboty.

Nigdy nie przestanę się wobec tego buntować.

W windzie biurowca robi mi się niedobrze, jakby ktoś wstrzyknął mi coś w żyłę. Jestem chyba zielony na twarzy, bo ludzie patrzą na mnie dziwnie.

Kiedy siadam za biurkiem w open spacie i odpalam kompa, wymiotuję na klawiaturę barwną fontanną, nawet ekran obrywa. Paw jest tak niespodziewany, że nie zdążam się odwrócić i obrzygać kierownika. Podszedł właśnie przypieprzyć się o parę minut spóźnienia.

Zostaję natychmiast zwolniony do domu. Jedyne dobre.

Mogę ukryć nocne nudności, ale nie będę kłamał, dlaczego wyszedłem z pracy zaraz po przyjściu i mam kilka dni wolnego. Takie układanie ściemy nie jest zdrowe dla związku, szczególnie tak kozackiego.

– Jutro rejestruję cię do lekarza – mówi Basia.

Nie słyszę, co mówi. Siedzę przy stole w kuchni, podpieram brodę, popijam energetyka i gapię się na las za oknem.

– Sławek!

– What?

– Jutro do lekarza!

Krzywię się.

– No! Spróbuj się wykręcać, to wpierdziel – dodaje.

Sięga mi ledwie pod pachę, ale to zawodnik, z którym lepiej nie zadzierać. Jesteśmy z sobą dwa lata i jest świetnie, zero bzdurnych kłótni czy przepychanek. Jasna sytuacja. Nie wkradają się między nas nieokiełznane damskie emocje i pretensje, ani nadmierna męska zlewka i niedocenywanie.

– Dobra, kurde, pójdę.

– Nikt cię w ogóle nie pyta o zdanie.

Jest tak śmieszna, kiedy się zachowuje w ten sposób, że rozwała mnie dokumentnie. Wstaję od stołu, podnoszę ją i niosę do sypialni na jednym ręku jak dzieciaka.

– Gdzie mnie niesiesz?

– Pokażę ci, świrusko, że nic mi nie jest.

Cieszy się. Ja też. Zapominam o kiepskim samopoczuciu.

Ale rano łobuzica i tak rejestruje mnie do lekarza.

Wdech, wydech, osłuch, pytania, macanie brzucha, lekarskie gryzmolenie w karcie, skierowanie na badania krwi, sików i już.

Robię to wszystko w ciągu trzech dni i oczywiście wychodzi, że jestem zdrowy. Dostaję skierowania na inne badania, między innymi czasy. Wyjdzie na jaw, że jestem pieprzony.

Wcześniej sam dochodzę, co mi jest. Zawsze czuję się gorzej przy kompie, telewizorze i z telefonem w ręku, a nawet kiedy gotuję na indukcji.

Mam uczulenie na technikę!

Basia mnie wyśmiewa. Upiera się przy chemii, sztucznym żarciu i napojach energetycznych, że nie jem nic zdrowego, wszystko przetworzone, napompowane i zmodyfikowane. Pewnie po części ma rację.

– Skąd ci się wzięło, że od techniki? – pyta.

– Sama zobacz.

Idziemy do łazienki, kucam przy sedesie, biorę telefon do ręki, włączę na Instagrama i przeglądam fotki. Po chwili kręci mi się w głowie i wymiotuję.

– O kurczę, Sławuś!

Odkładam telefon i oddycham głęboko.

– Widzisz, kurde?

– Nie, to musi być od czegoś innego.

– Mdli mnie tylko, kiedy siedzę przed kompem albo patrzę w telefon.

Podnoszę się, płuczę gardło i myję zęby.

– Może to jakieś uczulenie na promieniowanie z elektroniki, czy coś – mówi Basia.

– Mhm, chyba chak. – Wypluwam pastę i płuczę usta.

– Po tylu godzinach grania w Force of Globality wcale się nie dziwię, że mózg ci się zlasował. Ile można grać! – Dostaję kłapa w dupę.

Prostuję się natychmiast, bo zapiekło. Te małe łapki są naprawdę cięte.

– Nie, bo tobie się nie lasuje od tych seriali, wieśniaro.

– Chcesz kopa w jaja?

– Zawinać cię w ręcznik i zrobić naleśnik, klucho?

– No, spróbuj tylko.

I wystarczy. Żarłoczne pożądanie dopada nas natychmiast.

Jest między nami jakieś dziwne, niesamowicie dzikie uczucie. Potrafimy rozmawiać na trudne tematy, czytamy razem, gramy w gry planszowe albo gotujemy, ale wystarczy mały impuls nie wiadomo skąd i każde zajęcie kończy się w łóżku.

W końcu zeżrę tę małą małpę albo ona mi coś odgryzie.

– Co ci jest? – pyta Basia.

– Znowu mnie mdli.

– To odłóż telefon.

Kręcę głową i odkładam. Wkurza mnie, że nie mogę nawet sprawdzić, co w trawie piszczy.

Zaczynam się bać.

– Jutro idziesz na badania.

Przewracam oczami.

– Co?! Bez dyskusji, chłoptasiu.

Nie dyskutuję, nie ma sensu.

– Masz ochotę na spacer? – pytam.

– Nie mam siły.

Zagrzebuje się w betach, tylko nos wystaje.

– Nie marudź, tylko się ubieraj. Idziemy do lasu, musimy się dotlenić – mówię.

– Ty fufif, ja fofaje w fufku.

– Co?

Wychyla buzię spod kołdry.

– Ty musisz, ja zostaję w łóżku.

– Wstawaj. Poniosę cię na barana.

Taka mała babeczka jest bardzo praktyczna.

- Jeszcze zakręci ci się w głowie i mnie zrzucisz, nie chcę.
- I potoczysz się jak ten język w zarośla.
- Uważaj, żebyś ty się zaraz nie potoczył, dziki wieprzu.
- No już, wyłaż, bo cię wyciągnę.

Podchodzę, a ona znika w czeluściach pościeli. Wsuwam rękę pod kołdrę i szukam, ale wymyka się, kiedy tylko jej dotknę. W końcu łapię małą stópkę, wyciągam bez wysiłku i całuję.

Nie może jej wyrwać, tylko rzuca się i kotłuje.

- Hahahaha, przestań, dziku, proszę! Zabierz ryja!
- Ryja?

Dodatkowo podgryzam i liżę, żeby łaskotało bardziej. Kiedy widzę, że ma dość, puszczam. Stopa natychmiast znika pod kołdrą.

- Fuj, jaka mokra, obrzydlistwo!
- Ubieraj się, idziemy.
- Idź sam, dziku.
- Powinnaś wykorzystać wolne i zaczerpnąć świeżego powietrza.
- Jutro pójdziemy razem. Dzisiaj cały dzień chcę spędzić w łóżku.
- Jak chcesz. Zjem i idę.

Czekam przy stole w kuchni, aż zupka chińska się zaparzy. Patrzę za okno. Dopiero niedawno się dowiedziałem, że to największy las w północnej Polsce.

Ciekawe, czy można w nim zabłądzić?

Chyba nie ma już takiego lasu czy puszczy w naszym kraju, gdzie można by się zgubić, najwyżej po pijaku.

Zupę popijam szklanką coli. Odbija mi się niezdrowo. Jest źle. Chyba Mała ma rację. Za dużo sztucznego żarcia.

Czekam, aż mi przejdzie, ale żołądek wścieka się i wygania

mnie do łazienki.

Chcę jak najszybciej wyjść. Sam nie wiem, skąd ten pośpiech. Może przez pracę, w której normalnie o tej godzinie zasuwał jak chomik w kołowrotku. Może organizm to kuma?

Idę do kuchni napić się wody.

– Wyluzuj chłopie, relaks – gadam do siebie.

– Co mówiłeś, prosiaku?! – słysząc z sypialni.

– Ubieraj się i chodź ze mną!

Cisza. Wiedziałem. Pewnie jak wyjdę włączy jakiś odmóżdżający serial.

Patrzę za okno. Wciąż myślę o drzewach, liściach, o leśnym zapachu i zwierzętach. Dziwne, bo mieszcuch ze mnie pełną gębą.

Nie przepadam za przyrodą, nie ciągnie mnie. W dupie mam, że wycinają lasy i puszcze. Obcowanie z naturą ograniczam do plaży i kąpieli w morzu.

A teraz cieszę się, że pójdę do lasu. Naprawdę dziwne. Mieszkamy tu od roku i na palcach jednej dłoni można policzyć, ile razy tam byliśmy.

Wkładam szklankę do zmywarki.

Przed wyjściem mam ochotę znów wyłowić stopę Basi, ale powstrzymuję się. Jeszcze się podjaram i nie wyjdę.

– Wychodzę, pipko! Nie biorę telefonu!

– A idź, dziku, przynieś trufli!

Wchodzę do lasu. Wczoraj padało i dziś ładnie pachnie. Biorę duży haust powietrza.

– Aaaaa... – Wypuszczam głośno. – Ups. – Zawstydzam się.

Jeszcze ktoś mnie weźmie za świra. Ludzie na pewno tłumnie spacerują tu z psami. Widzę jakąś panią w oddali między drzewami, dotyka jednego.

Idę głębiej. Słońce przebija przez korony. Gra światła i cieni przyjemnie uspokaja. Ptaki drą dzioby. Cichną odgłosy osiedla.

Miałem gdzieś drzewa, szczególnie to, jak się nazywają. Nie, żebym ich nie lubił, są mi po prostu obojętne. Ale teraz mam ochotę ich dotknąć.

Podchodzę do sporego, z gładką, szarą korą. Zbliżam kinol i zaciągam się porządnie.

– Aaaale pachnie! – Znowu się zapominam.

Uciekam stąd żwawo, jakbym pierdnął głośno w galerii handlowej. Nawet widzę kilka osób między drzewami.

Im dalej w las, tym czuję się lepiej. To był dobry pomysł nawdychać się świeżego powietrza. Dotykam kolejnych drzew, obejmuję, przytulam i wącham. Mam nawet ochotę posmakować, ale przecież to wariactwo lizać korę.

Nigdy taki nie byłem.

– Debil.

Czuję dziwną tęsknotę. Jak za babcią, jakąś rodziną z przeszłości, której nie poznałem, bo umarli długo przed moim urodzeniem, ale jest między nami jakaś silna więź.

Zielonego pojęcia nie mam, skąd to się wzięło.

Zbaczam ze ścieżki pomiędzy drzewa i po kilkudziesięciu metrach wychodzę na małą polanę zalaną światłem. Trawa wygląda jak miękkie soczyste posłanie.

– No proszę, ale tu fajnie.

Kiepskie samopoczucie dawno minęło, za to ogarnia mnie znużenie. Dają o sobie znać nieprzespane noce.

– A co tam, mam wolne.

Kładę się na chłodnej trawie. Nade mną błękit nieba okolony zielenią, płyną chmury leniwe.

– Wielkie pierogi.

Żałuję, że nie ma ze mną Basi. Polanka jest dobrze ukryta,

można tu siedzieć na golasa, nawet pofiglować. Następnym razem łobuzica się nie wykręci, weźmiemy koc, żarcie, jakieś wino i spędzimy tu trochę czasu.

Zamykam oczy. Słucham ptaków, szmeru liści, jest tak przyjemnie i kojąco, że odjeżdżam.

Nie wiem, jak długo śpię. Budzi mnie ciepły podmuch i dziwny odgłos. Otwieram oczy i prawie robię w gacie.

Widzę łeb rudej krowy albo byka, zasłania mi cały świat, sapie na mnie. Ani drgnę.

Ma ogromne rogi, jakieś nietypowe. Zastanawiam się, skąd tu bydło? Jest w lesie jakieś gospodarstwo?

Staram się odsunąć i nie rozjuszyc bydlaka.

– O ja pierdziu. – Widzę coś gorszego.

Obok byka siedzi niedźwiedź. Prawdziwy, wielki grizzly, czy coś. Jak z filmu z Leonardem DiCaprio. Łeb ma ogromny. Patrzy na mnie małymi ślepiami, jak naćpany psychopata. Dziury w nosie ma jak tunele.

Czuję mrowienie poniżej pasa, ale chyba niczego nie popuszczam.

Dobra, tylko spokojnie – myślę.

Wycofuję się na siedząco i trafiam głową na coś włochatego. Przetykam ślinę. Najchętniej zamknął bym oczy i udał, że mnie tu nie ma. Odwracam się powoli.

Wielki szary pies siedzi sobie i pochyla nade mną. Może wilk? Za nim widzę kilka podobnych osobników.

Rozglądam się. Pełno dokoła zwierzaków. Jakies wielkie ptaki, drapieżne chyba. Jest lis, ryś, jakieś wydry i mały miś podobny do skunksa. Za nimi sarny i jelenie z wielkimi rogami. Chyba jelenie, nie znam się. Kurde, i łosć taki jak w serialu „Przystanek Alaska”. Ten ma gigantyczne poroże, czy jak to się nazywa. Wyglądają jak

wielgaśne, szerokie dłonie.

Żałuję, że jestem takim ignorantem w kwestii zwierząt i przyrody. Ale jedno rozumiem już dobrze, dlatego jestem spokojny.

– Nie ma was. Śpię jeszcze – mówię głośno.

Nie reagują, więc na pewno śpię, nie mam wątpliwości. Takie zwierzaki? W takim lesie? No i nie atakują mnie ani siebie nawzajem. To abstrakcja.

Zaraz pewnie któryś zacznie gadać.

– Jakaś Narnia, czy coś? – mówię i wstaję.

Las też wygląda inaczej, drzew jest więcej. Dokoła wielkie paprocie i gęste krzaczory. Pełno powalonych drzew porośniętych mchem. Las wygląda jak nie ruszony przez człowieka. Tak tu nie było, kiedy przyjechałem. Musiałbym się przedzierać.

Zarośla zaszeleściły.

– Co teraz wyjdzie, lew czy jakiś człowiek pierwotny? – pytam się byka i miśka.

Szelest zamienia się w trzask łamanych gałęzi. To nie człowiek ani nawet lew. Korony drzew trzęsą się jedna po drugiej.

Sen, nie sen, muszę przyznać, jestem z lekka spietrany.

Z mroku wyłazi olbrzymi żubr. Nie taki, jakie żyją w puszczy, ale taki jak z reklamy piwa. Wielkie rogi wyrastają ze łba z jednej i drugiej strony jak długie ciosy słonia. Można by na nich rozwiesić pranie.

Zbliża się.

– Ale z ciebie kloc.

Ma niesamowicie szeroki nos. Morda porośnięta skołtunioną sierścią, prawie nie widać oczu. Jest wyższy ode mnie o jakieś półtora metra, a mam ponad metr osiemdziesiąt.

– Jak słoń.

Byk wygląda przy nim jak cielak, a niedźwiedź jak, kurde,

Puchatek. Trawa prawie się kładzie od jego oddechu, czuję podmuch.

Pewnie zaraz odezwie się głosem Fronczewskiego i powie, że nie ma jak towarzystwo żubra, czy coś. Czekam na to.

Ale nie gada. Patrzy na mnie z zaciekawieniem jak reszta zwierząt. Jakby szef wszystkich szefów przyszedł sprawdzić, co się dzieje na jego ulubionej polance do srania.

Sen jest naprawdę rzeczywisty. Czuję nawet zapachy. Ten olbrzym śmierdzi gorzej niż spocony robot w autobusie w upalny dzień. Zbliża łeb, wacha mnie i parska, aż mi koszulka faluje. Widocznie śmierdzą mu tak samo, jak on mnie. Sprawdzam, czy mnie osmarkał.

– Burak z ciebie niewychowany, ale rogi masz kozackie.

Można by usiąść jak na gałęzi albo zawiesić huśtawki dla dzieci. I jeszcze byłoby miejsce.

Bydle odwraca się zadem do mnie.

– Dupę masz ufajdaną koło ogona!

Nie reaguje, znika w lesie. Reszta zwierząt też się rozchodzi. Zostaję sam.

– I co teraz?

Mógłbym się położyć, ale jakoś się rozbudziłem w tym śnie. Spróbuję wrócić do domu.

Ciekawe, czy zaraz wszystko się rozjedzie i znajdę się w łodzi na morzu. Albo moja przyszła teściowa poda do stołu, gdzie siedzą już zwierzaki z polanki ubrane w garnitury, a ja się spóźniłem i jestem na golasa, rzecz jasna.

Zarośla utrudniają przedzieranie. Wszystko jest inaczej. Ptasie wrzaski są głośniejsze niż na jawie. Pełno dookoła życia. Nie ma ścieżki, którą szedłem.

I sen jest spójny, nic się nie rozjeżdża. Zaczynam się bać, jakbym rzeczywiście się zgubił.

– W mordę. Mega rzeczywisty sen.

Mam nadzieję, że idę w stronę osiedla, na południe, chyba. Nic nie wygląda jak wcześniej. Paprocie, krzaki i zagajniki przeszkadzają jakby specjalnie. Pełno wszędzie powalonych drzew i wiatrołomów. Wyrznąłem się dwa razy i podrapałem trochę, a uświniony już jestem jak menel. Muszę uważać, żeby nie złamać giry.

Wydaje mi się, że idę bardzo długo. Pewnie dlatego, że nie jest łatwo.

Niektóre zwierzęta podchodzą za blisko. W rzeczywistości by tak nie było. Ale to i tak niewielki odchył jak na sen.

Pogwizduję dla kurażu, bo sraczka w majtach coraz większa.

Dobrze myślałem, że osiedla nie ma. Pewnie nic nie ma. Widać śnię o odległej przeszłości. Może cała Polska to las? Pewnie nie ma jeszcze Polski. Zero ludzi albo bardzo mało. Tylko Malbork, Frombork, Gniezno, jakieś grody otoczone fosą, coś takiego.

Gówniany byłem z historii.

Kretyńskie myśli. Wszystko przez to, że to takie prawdziwe. Słyszę najdrobniejszy dźwięk, nawet ziewanie komara. I powietrze smakuje świetnie, świeżo jak nigdy.

Mózg jest niesamowity. Stworzył każdy szczegół.

Rozglądam się, sam nie wiem za czym. Mam dość. Chcę się obudzić i wrócić do Basi, ale szczypanie tu i ówdzie i trzepanie w pysk nic nie daje.

Łażenie nie ma sensu. Siadam na powalonym drzewie.

– I co teraz?

Do zachodu słońca jeszcze trochę, ale w gęstym lesie mrok zapada szybciej i ciągnie od niego chłód. Koszulka i krótkie spodenki marnie grzeją.

– A co, jeśli przeniosłem się w czasie?

Śmieszne, ale pomysł zostaje w głowie. Wszystko przez realność tego snu.

– Ale muszę mocno spać.

Jeśli przeniosłem się w czasie, hipotetycznie oczywiście, bo wiadomo, że to bzdury, to doszło do tego na polanie. Wracam tam. Po co tu siedzieć. Osiedle nie istnieje, a las pewnie ciągnie się aż do Adriatyku i Morza Śródziemnego.

Tylko jak teraz znaleźć polanę? Jest coraz ciemniej i straszniej, nic nie widzę. Próbuję iść tak samo.

I lipa.

– Gdzie ja w ogóle jestem?

Czuję mrowienie w dupie, jak wtedy, kiedy zgubiłem się mamie. Zapomniane uczucie, które żywo wraca.

– To ciekawe.

Widać jest w nas pełna gama emocji. Niektóre nigdy nie wychodzą na wierzch, ale są w środku, uśpione na specjalne okazje.

W tym lesie nie da się nie zgubić! Księżyc słabo świeci, chmur jest za dużo. Słyszać coraz więcej, a widzieć coraz mniej.

Czuję podmuch skrzydeł jakiegoś wielkiego ptaka, przelatuje tuż nad głową.

– O żeż w ryj. – Kucam.

Ostatni koszmar śnił mi się w dzieciństwie. I chyba nigdy tak realny. To pewnie od tych problemów ze snem i zdrowiem.

Coś na przemian pohukuje, popiskuje, szeleści i łamie gałęzie.

– Zaraz narobię w gacie.

Kawałek dalej dociera do mnie, że to nic nie da. Równie dobrze mogę kręcić się w kółko.

Lepiej znaleźć schronienie.

– Łatwo powiedzieć – szepczę.

Myślę, żeby zagrzebać się w liściach i liczyć, że nic mnie nie zeżre. Dziwne, że do tej pory jestem cały. Co to za durny sen?

Wpadam na inny pomysł.

– Wleżę na drzewo.

Na drzewie bezpieczniej, choć w liściach pewnie trochę cieplej.

– To sen przecież.

Wybieram liście.

– Co to?

Wielki kształt przede mną. Serce wpada w panikę, zaraz rozerwie mi klatkę albo ucieknie dupą. To coś szeleści, zbliża się, a ja nie mogę się ruszyć ze strachu.

Chcę się obudzić, teraz! To idealny moment. Już się, kurde, wyspałem!

Kiedy kształt jest jakieś dwa metry ode mnie, rozpoznaję tego wielkiego żubra. Teraz zaatakuje? Tak się boję, że trzęsę się jak pinczer na mrozie.

Zbliża gigantyczny łeb, parska i trąca mnie lekko.

– Czego?

Znów trąca. Chyba chce, żebym za nim poszedł. Idę, co mi szkodzi.

Ależ śmierdzi.

Rozpoznaję polankę dopiero, kiedy na niej jesteśmy. Sam bym tu nie trafił.

– Co teraz?

Żubr mruczy, pochyla łeb i skubie trawę. Rozglądam się chwilę i siadam. Co innego robić?

– Dzięki – mówię i się śmieję. Takie to idiotyczne.

Tutaj się zaczęło. Położę się, zasnę i może obudzę z tego porąbanego snu.

Trzęsę się z zimna. Spałem jak zabity. Później pewnie rozwali mnie przeziębienie wszech czasów.

Zaczyna świtać. Prazubra nie ma. Po puszczy ani śladu. W porównaniu z nią las wygląda jak park albo jak drzewa między grobami na cmentarzu.

Aż smutno jakoś.

– W mordę, całą noc tu byłem.

Myślę o mojej świntuszce. Ależ się musi martwić.

– Powrót do przyszłości.

Zrywam się i pędzę w stronę ścieżki. Jest! Po kilkunastu minutach między drzewami, w brzasku, wyłania się osiedle, niczym zaginione miasto Majów.

Co za ulga.

Basia wrzeszczy, kiedy słyszy mnie przez domofon. Dobrze, że jest w domu, bo nie wziąłem kluczy, wyszedłem przecież na chwilę.

Jestem brudny tak samo, jak we śnie. Mam też te same zadrapania. Lunatykowałem? Nie wiem, jak to wytłumaczyć i nie mam teraz na to siły.

Mózg potrafi płatać figle i tyle.

– Sławek!

Wskakuje na mnie. Przywiera tak, że dynamitem bym nie oderwał.

– Dusisz mnie, babo!

Zeskakuje i wyprowadza cios w bęben.

– Opf! – Zginam się w pół.

Od razu dostaję kopa w zadziec, prostuję się.

– Co ty!?

– Gdzie byłeś!? Jak ty wyglądasz?!

– W lesie przecież.

Łapię tę małą pchłę i zanoszę do sypialni. Rzucam na łóżko, ale natychmiast się podrywa. Nie odczytuje mojej tęsknoty jak trzeba.

Pracuje w trybie wojowniczym, nie romantycznym.

– Co się z tobą działo!?

– Zabłądziłem w lesie.

Próbuję się zbliżyć. Odskakuje.

– O nie, nie bratku! Gadaj, co się z tobą działo. Niebo i ziemię poruszyłam! Byłam na policji!

– Na policji? Po co?

– Gadaj!

Szykuje się, żeby znowu mi przyłać.

– Zaraz wszystko wyjaśnię. – Unoszę łapska, poddaję się.

– I wio do łazienki, śmierdzielu!

– Najpierw zjem, bo zdechnę.

Myję się i opowiadam, że chciałem tylko poleżeć, ale zasnąłem głęboko. Basia siedzi na sedesie i obdzwania wszystkich, daje znać, że się znalazłem.

Wycieram się i próbuję zwrócić jej uwagę. Prężę się, wyginam, a odwracając się prawie pacam w głowę swoją najważniejszą kończyną. Ale Mała jest za bardzo przejęta, żeby to odczytać jak trzeba.

– Głupi jesteś. – Strzela mnie w poślad.

– Csss! – Zapiękło.

– Szukaliśmy cię, niektórzy wzięli psy – wyrzuca z pretensją.

Policja olała sprawę, bo od zniknięcia nie minęły dwadzieścia cztery godziny. Wyobrażam sobie tropiącego ratlera Hanki i yorka Kuby. Śmieję się i dostaję w łeb, bo Małej nie jest do śmiechu.

- Widocznie nie trafiliście na polankę.
 - Trafiliśmy na całe mnóstwo polan i polanek. A ilu spotkaliśmy dziwnych ludzi. Przytulali się do drzew, leżeli na liściach.
 - Świrów nie brakuje.
 - Obeszliśmy tylko połowę. Kuba tak zaplanował poszukiwania, żebyśmy niczego nie pominęli.
 - To w końcu surwiwalowiec. – Czuję zazdrość.
 - Szukaliśmy do późnej nocy. Z samego rana mieliśmy szukać dalej. Wysłał mi mapę, co już sprawdziliśmy.
- Basia odpala komputer, a mnie znów kręci się w głowie. Awersja do elektroniki nie minęła.
- Fajnie, że w lesie czułem się wybornie. I przynajmniej pospałem.
- Stanę z tyłu – mówię.
- Oglądamy mapę. Na przeszukanym terenie nie widać polany. Zdjęcia satelitarne też jej nie zdradzają, widocznie jest za mała. Ale wiem, gdzie się znajduje, mniej więcej. Na pewno tam, gdzie szukali.
- Powinniście bez problemu mnie znaleźć śpiącego na łonie natury. Na samym jej futerku.
- Łapię Basię od tyłu za piersi. Ręcznik, którym jestem zawinięty, poruszył się.
- Zabieraj łapska, nie zasłużyłeś.
 - Biorę, co moje.
 - Nie twoje, skoro wolisz futerko natury zamiast mnie gładziutką.
 - I po co to przekomarzanie, pchełko?
Załącza jej się tryb uległy i namiętny.
 - No chodź – mówię.
- Biorę ją na ręce i niosę do sypialni. Patrzą w zielone oczy, na

malutki nosek i lekki kuszący uśmiech.

– Ale ty jesteś śliczna, koteczko.

W sypialni moja stopa wita się małym palcem z nogą łóżka.

– Ała, kurde! Szlag!

– Hahahaha! – śmieje się ze mnie zaraza.

Wypuszczam ją z rąk na wyro, odbija się jak piłeczka.

– Zaraz nie będziesz się śmiała.

Siadam i masuję girę. Basia przestaje się śmiać, a ja cieszę nią oczy.

– Niefajnie długo cię nie widzieć, ślicznotko – mówię.

– Musisz się teraz dobrze przyjrzeć. – Zdejmuje koszulkę.

– Przyjrę się z bliska.

Zapominam o palcu.

Leżymy. Patrzę na las za oknem.

– Chcesz zobaczyć tę polanę? – pytam.

– Możemy iść. Ale wcześniej kawy bym się napiła.

– Ok.

Zabieram do łazienki telefon. Sprawdzam nieodebrane połączenia, smsy i wiadomości na WhatsAppie, potem Fejsa, Insta i Twittera. Zawroty głowy prawie ściągają mnie z kłopa. Ale nie odpuszczam.

Wpisuję w Google ‘wilk’ i szukam grafik. Te w moim śnie były większe. Wpisuję też ‘pierwotny żubr’ i wyskakuje podobne bydlę jak ten mój.

Coraz bardziej kręci mi się w głowie, w końcu wymiotuję.

– Co mi jest, kurde?

Nie poddam się. Płuczę usta, siadam na podłodze i szukam dalej. Łudzę się, że w końcu się uodpornię.

Szukam zdjęć byka. Ten mój był sporo większy od zwykłego i

rogi miał inne.

– Jak był prazubr, to może był też tur? – wpadam.

Te w necie wyglądają podobnie, to musiał być tur.

Czuję się jeszcze gorzej. Odkładam telefon. Łykam powietrze i próbuję nie zemdleć. I jak mam funkcjonować, jak pracować?

– Muszę iść do tego lekarza – mówię do siebie. – Dzisiaj miałem iść na badania.

Nawet Mała zapomniała. Puka do drzwi łazienki.

– Sławek, idziemy?

– Już wychodzę.

Dźwigam się z podłogi, myję twarz w zimnej wodzie i wychodzę. Telefon zostawiam przy pralce. Nigdy się z nim nie rozstawałem i dbałem jak o dziecko swoje ukochane, a teraz gardzę jak czymś wstrętnym.

Na dworze jest ładniej niż wczoraj. Idziemy za rączkę. Wyglupiamy się jak młodzi zakochani, tylko deczko stuknięci. Popychamy się, podstawiamy sobie nogi, wrzucamy szyszki za kołnierze. Muszę uważać z doborem siły. Kiedyś pchnąłem kruszynkę za mocno i wleciała w pokrzywy. Odwdzięczyła się błyskawicznie. Wrzuciła mi w gacie szyszkę i zapaliła kopa. Dobrze, że zatrzymała się na pośladku, a nie we wrażliwszych rewirach.

– Słyszysz ptaki? Nieźle, co? – pytam.

Baśka patrzy na mnie zdziwiona.

– Zawsze miałeś gdzieś, jak mówiłam, że ładnie śpiewają.

– Wczoraj zacząłem zwracać uwagę. Kurde, nie mają ust, tylko dzioby, nie mogą ich układać jak my, a wyśpiewują takie melodie, zmieniają tony i tak dalej. Słyszysz tego, jak napieprza pięknie?

– Naprawdę jesteś chory. Albo dojrzewasz.

– To romantyzm, wieśniaro.

Dochodzimy do ścieżki.

– A tej co? – pyta Basia.

Młoda kobieta przytula drzewo.

– Wącha świerk?

– Może chce zgwałcić?

– Głupek.

Przechodzimy obok. Nie istniejemy dla niej, skupia się na pniu, wącha, obejmuje, jakby witała bliską osobę po rozłące.

– Pełno takich wariatów widzieliśmy wczoraj. Nie gap się tak.

Dostaję kuksańca w bok, bo dziewczyna jest ładna. Ciekawe, dlaczego się tak zachowuje.

W głębi lasu obraz kobiety się ulatnia.

– Już niedaleko – mówię.

Zaraz odbijemy na polankę.

– Sławek – Mała szepcze i ściska moją rękę.

– Co?

– Patrz.

Pokazuje na coś między drzewami.

– Tam ktoś jest – mówi.

– No to co?

– Na ziemi. Wczoraj widzieliśmy dwie osoby, jak tak leżały, ale ruszały się, i nie podchodziliśmy.

W końcu widzę. Kilkanaście metrów dalej leży facet zagrzebany w liściach.

– Może ten nie żyje? – mówi Basia.

W głowach włączają się projekcje zbrodni, że ktoś kogoś zamordował i w pośpiechu chował ciało.

– Rusza się – mówię.

Zdemaskowany mężczyzna odwraca głowę, jakby się wstydził.

– Halo, pomóc panu?! – pytam.

Nie odpowiada.

– Może coś mu się stało? – mówi Basia.

Patrzę na bystrzaczę i uśmiecham się.

– No co? – pyta.

Facet nie jest zakryty zupełnie, wystaje w kilku miejscach. Chowa twarz, kiedy podchodzimy. Jest jakoś w moim wieku, po dwudziestce, maks trzydzieści lat.

Kucam.

– Hej, kolego, coś się stało, możemy jakoś pomóc? – pytam.

– Nie, proszę mnie zostawić.

– Ok – mówię i wstaję. Mnie tyle wystarczy.

– Ale dlaczego pan tak leży? Zdradzi pan powód? – pyta Basia.

Wścibskie baby – myślę. Ale chłop odpowiada.

– Wiem, jak to wygląda. Proszę mnie zostawić.

– Możemy zadzwonić po kogoś. Tylko z domu, bo nie wzięliśmy komórek – mówi Mała.

– Nie zwariowałem. Moi już próbują mi pomóc. Proszę mnie zostawić.

– Ale co panu jest?

– Nie wiem. Inni też to mają. Nie mogę wrócić do domu.

Żarcik mi się nasuwa, wypalam.

– No tak, wielu ma żony zarazy.

Dostaję z łokcia od Baśki.

– Zaczęło się od elektroniki i samochodu – mówi gościu.

Zamieramy. Facet siada.

– Co się zaczęło? – pytam.

– Wymioty i mdlenie. W domu było coraz gorzej. To jakiś wirus cywilizacyjny. Badają moją krew. Żona z bratem i z mamą załatwiają wszystko, bo ja musiałem uciec ze szpitala.

- Dlaczego? – pyta Mała.
- Umarłbym tam. Jestem już wrażliwy na wszystko, co sztuczne. Dadzą mi pewnie jakieś leki odczulające.
- Na pewno, proszę się nie martwić – mówi Basia.
- I tylko tutaj czuje się pan dobrze? – pytam.
- Tak, blisko ziemi i drzew. Mam halucynacje, nawet ciekawe.
- Jakie halucynacje? – pytam.
- Ziemia mówi do mnie, jak było kiedyś, jak powinno być.
- Jak mówi?
- Mieszkam w szałasie, o tam, w wąwozie. – Pokazuje głową kierunek. – Sam zbudowałem, bo w sztucznym namiocie bolała mnie głowa. Często budzę się w innym miejscu. To znaczy w tym lesie chyba, ale setki albo tysiące lat wcześniej. Tak ziemia do mnie mówi, jestem pewien.
- Czuję mrowienie w gaciach, coś tam się skurczyło.
- Po co? – pytam.
- Nie wiem. Jestem tam, dopóki znowu się nie położę i nie obudzę. Chociaż ostatnio coraz częściej kładę się i budzę dalej w przeszłości. Boję się, że zostanę tam na zawsze.
- Teraz stado ciarek przebiegło mi przez plecy.
- Widzisz zwierzęta? – pytam.
- Mnóstwo, nawet wymarłe gatunki. Co, ty też?
- Nie. Musimy iść. Trzymaj się.
- Odciągam Baškę.
- Czeka, czemu już chcesz iść?
- Może nas zarazić, chodź – szepczę.
- Wygląda na to, że już jesteś chory, Sławuś. Wystraszyłeś się?
- Nie odpowiadam. Pokażę jej polanę i wracamy do domu.
- Sławek, mów do mnie.
- To nie może być prawda.

- Co takiego? Ty też masz takie objawy.
- To świr. Złapaliśmy jakiegoś wirusa i może podrażnia go elektronika, jak mnie, ale on sobie wkręcił, żeby mieszkać w lesie. To wariat.
- Myślisz?
- Ja nie mam zamiaru przeprowadzać się do lasu, to paranoja. Opuszczamy ścieżkę i po chwili jesteśmy na polance.
- To tu? – pyta Basia.
- No, tu. – Zadowolony mrużę oczy przed słońcem. – Fajnie, nie? Przyjdziemy tu jutro z kocykiem i pogilam cię trawką po syrkach.
- Sławek, my tu byliśmy.
- Nie byliśmy tu jeszcze. – Już widzę, jak dobieram się do jej stópek.
- Byliśmy tu, kiedy cię szukaliśmy. Na pewno.
- Niemożliwe, to musiała być inna polanka, spałem tu przecież.
- Wskazuję soczysty zielony dywan. – Było ciemno, pomyliło ci się.
- Nie, dziku, byliśmy tu na pewno.
- Nie wierzę. Kobieca orientacja w terenie jest słaba. Nie ma sensu ciągnąć tematu.
- No to nie wiem. Fajnie tu, co? – pytam.
- Martwię się o ciebie, dzikusie. Ty też lepiej czujesz się w lesie, co? Widzę po tobie różnicę.
- Każdy przecież dobrze czuje się w lesie.
- A co, jeśli rzyganie od telefonu to dopiero początek? Łapię Małą w talii i podnoszę wysoko.
- Przestań szukać problemów, świrusko. Nic mi nie jest.
- Postaw mnie. Tam ktoś jest.
- Kurde, znowu? To miała być nasza prywatna polanka.

Basia ląduje na nogach. Odwracam się w kierunku, w którym patrzy. Widzę ludzi między drzewami.

– Następni stuknięci? – pytam.

Kawałek dalej, oparci o drzewo, siedzą jacyś ludzie, chyba trzy osoby. Jedna z nich wstaje, kobieta.

– Idzie tutaj. Sławek, boję się.

– Uspokój się.

Zatrzymuje się na skraju drzew. Wygląda normalnie, ma jakieś czterdzieści lat.

– Przepraszam państwa. Macie może telefon? Gdybyście mogli zadzwonić do mojego męża, byłabym ogromnie wdzięczna.

– Nie mamy, przykro nam – mówi Basia.

– Ach, szkoda. Też to macie?

– Co mamy? – pytam.

– Tę alergię na wszystko, co sztuczne.

Patrzemy na siebie, Małej drży broda.

– Ja mam – mówię.

– Jakie stadium?

– Nudności od komórki i komputera. – Czuję się jak na jakimś mitingu chorych na to samo.

Kobieta kiwa głową.

– Potem jest gorzej? – pyta Basia.

– Wrażliwość na chemię w jedzeniu, na plastik, nawet na farbę na ścianach. Na sztuczne ubrania. Może być tylko bawełna bądź len. Cały nasz świat jest sztuczny, a przecież my nie jesteśmy sztuczni, zawsze to mówiłam. – Kobieta chowa twarz w dłonie i zaczyna płakać.

Basia też już płacze.

– Spokój, mała. – Ściskam jej rękę.

Jeden z towarzyszy kobiety podchodzi i ją obejmuje.

– Macie halucynacje? – pytam.

– To nie są halucynacje. Przenosimy się naprawdę, na coraz dłuższe okresy czasu – mówi facet.

– Chodźmy stąd – szepcze Basia i ciągnie mnie za rękę.

– Naprawdę, jest pan pewien? – pytam.

– Zabrałem stamtąd rośliny, które dawno wymarły. Mogę panu pokazać, jeśli się pan na tym zna.

– Nie znam się kompletnie.

Baśka ciągnie uparcie.

– Do widzenia – mówię.

– Do zobaczenia. Możecie się do nas przyłączyć. Znajdzie nas pan nad rzeczką. Tutaj spotykamy się z rodzinami.

Unoszę ramię na pożegnanie.

– Wystraszyłaś się?

– Coraz więcej ludzi na to choruje. I co to za przenoszenie? Gdzie? O jakich halucynacjach mówiłeś?

Zbieram myśli. Może wciąż śpię?

– Sławek, mów wreszcie.

– Nie mogliście mnie znaleźć, bo byłem na tej polanie, ale w przeszłości, w prehistorii albo w średniowieczu, nie wiem.

Kręcę głową i śmieję się, jak kretyńsko to brzmi.

– Nie żartuj, dziczku, nie mam nastroju.

– Myślisz, że ja mam?

Opowiadam o zwierzętach i lesie, jak wyglądał.

– Po co to, nie rozumiem – mówi Basia.

– A myślisz, że ja rozumiem?

– Dlaczego te zwierzęta się tak zachowywały?

– Nie mam pojęcia.

Przestajemy rozmawiać. Spotykamy innych zainfekowanych, całe mnóstwo, to nie spacerowicze, z pewnością. Niektórych

znamy z widzenia, mieszkają na osiedlu. Ich oczy błyszczą rozpaczą i strachem przed nieznanym. Przyglądają się nam, bo wracamy tam skąd uciekli.

– Dlaczego jedni chorują, a drudzy nie? Chodźmy szybciej, może znajdziemy coś w necie – mówi Basia.

Na samą myśl o Internecie odbija mi się niezdrowo. Czuję, że w domu będzie źle. Już swędzą mnie stopy i dupsko, bo klapki sztuczne i spodenki z plastiku.

I miałem rację. Zawroty głowy dopadają mnie już na klatce schodowej. Chwilę później swędzi mnie już wszystko. Nie wyobrażam sobie wziąć do ręki telefonu.

Basia wraca z sypialni z tabletem. Wskakuje na kanapę w salonie i grzebie w necie. Ja zdejmuję spodenki i zostaję na gaciach, bo bawełniane, wysypka nie grozi.

Niczego nie dotykam.

– Musi coś być – Mała mówi do siebie.

Czuję się coraz gorzej.

– Chcesz mnie uratować, moja mała ślicznotko?

Nie odpowiada, nie jest jej do śmiechu. Mnie też. Ale próbuję stwarzać pozory.

– Malutka, zostaw to. Chodź do mnie. W sypialni nie ma żadnych urządzeń, możemy tam posiedzieć.

Chcę być z nią jak najdłużej, bo coś mi się wydaje, że to szukanie jest daremne i rozstanie nas nie minie.

Szybciej niż sądzimy.

– Cicho, może coś znajdę – Bierze ze stołu pilota. – Może coś w tiviku będzie.

Włącza kanał informacyjny i dalej grzebie w tablecie, ale przestaje, kiedy słyszy, o czym mowa w telewizji.

‘(...)

– ...mamy doniesienia z całej Polski. Sytuacja w innych krajach wygląda bardzo podobnie. Wiemy o kilku ogniskach w Niemczech i Francji. Z godziny na godzinę docierają kolejne informacje. Panie profesorze, to świeże zjawisko postępuje w zastraszającym tempie. Najwięcej zachorowań odnotowano w dużych miastach. Co możemy zrobić? Skąd się to wzięło?

– Uчени próbują to rozwikłać...

– Tak, ale do tej pory nic nie ustalono, czy są jakieś domysły? Mówi się o wirusie, pandemii...

– Prowadzone są badania, które mają to wyjaśnić...

– Niektórzy mówią, że to wirus albo silny alergen, który zmutował w miastach. Czy przyczyną może być smog?

Profesor się śmieje.

– To najpewniej patogen, który trzeba zidentyfikować...

– A co pan na to, że nie wszyscy chorują, niektórzy są odporni?

Twarz profesora zdradza irytację ciągłym przerywaniem.

– Badani są jedni i drudzy...

– Przepraszam mamy już połączenie z jednym z ekologów. Łączymy się z Kampinoskim Parkiem Narodowym, gdzie jest Krzysztof Nowak. Witamy.

Na pierwszym planie pojawia się grubasek z grzywką zaczesaną na bok, dociska słuchawkę w uchu. W lesie za nim widać całe mnóstwo ludzi zmuszonych do ucieczki z miasta.

– Witam państwa.

– Panie Krzysztofie, proszę powiedzieć, co pan sądzi o tych, którzy są zdrowi i wspierają bliskich? Czy im nic nie grozi? – pyta kobieta ze studia.

Facet czeka chwilę, aż głos do niego dotrze.

– Wydaje się, że niektórzy są odporni. Jednak z naszych obserwacji wynika, że to zależy od uwarunkowań organizmu i jest

tylko kwestią czasu. Obawiam się, że czeka to każdego.

– Czy to niezbyt daleko posunięte przypuszczenie?

– To nie przypuszczenie, to się dzieje naprawdę, na naszych oczach. Oczywiście, możemy się mylić, ale coraz więcej osób, którym wcześniej nic nie było, zgłasza typowe objawy.

– Czyli złe samopoczucie w kontakcie z telefonem komórkowym na przykład. Miejmy nadzieję, że szybko uda się temu zaradzić. Dziękujemy.

Ekolog znika z ekranu i wracamy do studia.

– Co pan na to, panie profesorze?

– Oczywiście, nie wiemy wszystkiego...

– Czy to może być jakaś agresywna choroba cywilizacyjna dwudziestego pierwszego wieku?

– Pani redaktor, możliwe, ale poczekajmy na opinię ekspertów, z pewnością wykażą przyczynę. Być może sami wywołaliśmy problem.

– Zapewne my, o tym właśnie mówiłam.

– Z pewnością gdybanie i wywoływanie paniki w niczym nie pomoże.

– Miejmy nadzieję, że uda się pomóc poszkodowanym i szybko wrócą do normalności. Inaczej bardziej niż dotychczas będziemy potrzebowali lasów, których tak niewiele sobie zostawiliśmy. Dziękuję panu. Był z nami profesor uniwersytetu...

(...)'

Basia wyłącza telewizor. Spogląda na mnie. Pierwszy raz widzę taki smutek na jej buzi.

Przełykam gorzką kluchę i robię dobrą minę.

– Co to za smutek, świrku? Będzie dobrze. Zamieszkać w lesie, dopóki nie znajdą lekarstwa. Dobrze, że mamy blisko i jest lato.

Próba wesołości wypada cienko.

W głowie krążą myśli, co jeść w lesie, jak żyć? Wyobrażam sobie tłumy chorych. Jak się pomieszczą? Przecież wybuchnie anarchia, ludzie zdziczeją, będą walczyć o jagody i grzyby. Wzdrygam się na samą myśl i otrząsam z tego, nie chcę marnować czasu.

– Malutka, chodź.

Basia podchodzi wtulić się we mnie. Zanoszę ją do sypialni i wykochuję porządnie.

Śpi. Mnie ból głowy nie pozwala zasnąć. Oczy szczypią, w nosie i w gardle drapie od plastiku, farb, klejonych mebli z płyt wiórowych i paneli podłogowych. Cała ta chemia atakuje jak wrogie środowisko. Nie mogę znaleźć pozycji, w której czułbym się dobrze.

Chcę się napić wody, ale zamiast tego lecę do łazienki i wymiotuję. Wracam zrezygnowany i staję przy oknie. Las przyciąga zaczerwienione oczy. Chwieję się jak pijany. Nie wytrzymam tu dłużej.

Szukam bawełnianych spodenek.

– Łobuzico – szepczę.

Nie chcę jej budzić, ale znaleziony później liścik pewnie wkurzyłby ją niemiłosiernie.

– Mała wariatko!

– Co, co jest? – Zakotłowało w pościeli.

– Śpisz, a tu środek dnia.

– Porąbało cię, wieśniaku?

Przytula kołdrę, kicha i chce spać dalej, ale przypomina sobie, co się dzieje.

– Co robisz? – pyta.

Nie odpowiadam, patrzę na nią. Od razu rozumie.

– O, nie. – Zaczyna płakać i kichać raz za razem.

– Kręci cię w nosie?

– Nie wiem.

Zataczam się.

– Nie wygłupiaj się, Sławuś.

Ledwie stoję, nie ma czasu na gadanie, ruszam do drzwi. Chwytam się toaletki, potem futryny. Przedpokój obraca się jak bęben pralki, lecę na ścianę i na suwane drzwi szafy.

Słyszę kichanie Basi, zbliża się, czuję jej rękę, podtrzymuje mnie od tyłu.

– Chodź, kochanie.

Prawie spadamy ze schodów. Na zewnątrz jest trochę lepiej, nie musi mnie trzymać. Ale budynek, chodnik i samochody na parkingu wydzielają toksyczne opary, niemal je widzę.

Śpieszymy do lasu i dopiero między drzewami jest jak ręką odjął. Chociaż igły i szyszki wgrzyzają się w podeszwy gołych stóp.

– A twoje buty?

– Nie mam niesztucznych przecież.

Basia jest przerażona.

– Co teraz będzie? – pyta.

– Nie wiem. Muszę sobie jakoś poradzić. Wróc do domu i przynieś mi proszę scyzoryk, zapalki, bawełniane spodnie dresowe i mój wełniany sweter, mamy jakiś koc nie sztuczny?

– Nie wiem... – Zaczyna ryczeć.

– No weź, szajbusko, przecież będę tu cały czas, blisko ciebie.

– Nawet do ciebie nie zadzwonię, żeby zapytać, czy wziąć coś jeszcze.

– Będę tu czekał, nigdzie nie pójdę. Możemy tu sobie spędzać dnie na kocyku, dopóki nie znajdą lekarstwa.

– A jak nie znajdą?

– Ludzie sobie kiedyś radzili, kiedy nie było techniki. My też

sobie poradzimy. Przystosujemy się.

Nie mam pojęcia, co gadam, nie wyobrażam sobie tego, ale muszę być silny. W końcu jestem facetem, samcem, co z tego, że zupełnie oswojonym.

– Ok, idę, czekaj tutaj – mówi Basia.

Zaciskam pięści. Będę musiał o nią zadbać, kiedy do mnie dołączy, karmić i chronić.

Trochę zdziczeć.

Mimo tego, że jestem przerażony i chyba nie do końca dociera do mnie powaga sytuacji, to jest nawet ekscytujące. Jakbym wyruszał w nieznane. Liczę, że koleżka Kuba mnie czegoś nauczy, zna się na przetrwaniu.

Moja wrażliwość rośnie z każdą chwilą. Wyczuwam toksyny bijące z osiedla, są jak smród z pobliskiego wysypiska, ale naturalna bariera ochronna lasu nie pozwala im się wedrzeć.

– Ciekawe, czy tu doszedłem, kiedy mnie przeniosło?

W czasy bez toksyn.

– Jesteśmy wirusem.

Ciekawe, co mnie czeka. Czy znów mnie przeniesie.

– Kurde, moje giry.

Siadam pod drzewem i masuję stopy. Jest cicho i przyjemnie. Ptasie trele odprężają. Korony drzew przyciągają wzrok. Czuję się jak przed domem, do którego mam wejść. Jakby w środku czekało przytulne wnętrze, gdzie mój spokój stanie się jak rzeka i będzie płynął bez końca.

Patrzę na osiedle i zaczynam rozumieć.

– Ale my jesteśmy głupi.

Nie będzie żadnego lekarstwa. Przyroda cofa się tam, gdzie nie było syfu, naszych frajerskich wynalazków i szkodliwej władzy.

– Zwierzęta przypilnują, żebyśmy już niczego nie spieprzyli.